

KRZYSZTOF ŁAZIUK

Zapomniana bitwa pod Sokółdą

To nie była wielka bitwa. Nie była też interesująca pod względem wojskowym, nie miała znaczenia dla losów Powstania Listopadowego. Zginęło w niej lub zostało wziętych do niewoli stu, może dwustu polskich żołnierzy. Pamiętnikarze Powstania o takich stratach piszą, o ile w ogóle piszą, jako niewielkich, nieistotnych. Ot, drobny epizod.

Historycy zajmujący się tym okresem dziejów wiedzieli o bitwie pod Sokółdą, wzmiankowali o tym wydarzeniu w swoich pracach. I te drobne wzmianki im wystarczały, bo szczegóły tych wydarzeń nie wносиły nic istotnego do wiedzy historycznej, a ich zebranie wymagałoby wiele pracy. Stało się jednak tak, że lokalna pamięć o tych wydarzeniach zaginęła i stało się to już dawno temu. A ściślej: istniała świadomość tragicznych wydarzeń z przeszłości, zaginęła natomiast pamięć o tym, co dokładnie tu się wydarzyło i kiedy. W pamięci mieszkańców przetrwały ustne przekazy dotyczące jakiejś bitwy, ale mylnie łączono je z Powstaniem Styczniowym. Ten błąd popełniono już przed wojną, kiedy na mogile poległych w 1831 r. leśnicy postawili pomnik ku czci powstańców styczniowych. Błąd ten powtórzono w 1988 r., kiedy Nadleśnictwo Supraśl zakładało Arboretum w Kopnej Górze. Przylegający do pola bitwy obiekt nazwano imieniem Powstańców 1863 roku.

Powoli odtwarzana jest wiedza o prawdziwej historii tego miejsca. Próbuje ją rekonstruować na podstawie rozrzuconych w pamiętnikach i naukowych opracowaniach wzmianek, ustnych przekazów, zapisu w parafialnej księdze, znalezionych na nadrzecznych łąkach przedmiotów. Próbuje skleić te okruchy w jedną, powstańczą opowieść. Ważną może nie dla Historii przez duże „H”, ale dla tej małej lokalnej historii. Historii mającej bliski, ludzki wymiar.

Głównym, zbiorowym bohaterem tej opowieści jest powstańczy oddział pułkownika Józefa Zaliwskiego. Jego dowódca to postać, jak to się zwykle dziś określać, kontrowersyjna. Zarzucano mu nadmiar ambicji niewspółmiernej do jego możliwości, intrygantwo, mijanie się z prawdą. Zapewne są powody takiego osądu. Ale jednocześnie należy pamiętać, że był to jeden z uczestników spisku podchorążych i współautor „nocy listopadowej”, dzielny żołnierz, jeden z najlepszych dowódców partyzanckich w okresie Powstania Listopadowego. Musiało być w tym człowieku coś, co powodowało, że jego podkomendni oceniali go inaczej, niż ludzie patrzący z zewnątrz. Walczyli pod jego dowództwem w partyzanckim oddziale na terenie Puszczy Augustowskiej i Kurpiowskiej, walczyli na Litwie i pod Sokołdą. Rozproszeni w tej ostatniej bitwie, znów wrócili pod jego komendę po przedarciu się do Warszawy. Niektórzy z nich będąc już na emigracji, w 1833 r. przyłączyli się do dawnego dowódcy, by z terenu Galicji organizować nowe powstanie.

Józef Zaliwski jako pierwszy w czasie powstania 1831 r. podjął działania partyzanckie, które uważał za cenne uzupełnienie działań regularnej armii. Już w grudniu 1830 r. prowadził wywiad wśród rosyjskich oddziałów stojących na granicy Królestwa Polskiego, a 28 stycznia 1831 r. rozkazem Naczelnego Wodza został skierowany do działań partyzanckich w Augustowskim. Do pomocy przydzielono mu dwóch podporuczników i sześciu podoficerów. Oddział szybko osiągnął stan 120 strzelców, rekrutujących się głównie ze służb leśnictwa Nowogród. Pierwszą potyczkę stoczył z kozakami pod Łomżą. To przysporzyło mu kolejnych ochotników. Oddział się rozrastał i utrudniał życie przeciwnikowi, dezorganizując

jego linie zaopatrzeniowe i wiążąc siły, które nie mogły zostać użyte do walk z polską armią. Oto, jak wspomina ten okres działania sam dowódca:

Zaczęliśmy zbierać broń jaką tylko gdzie znaleźć mogliśmy, kryjąc się po lasach napadaliśmy na małe oddziały wojska wysyłane za furazem lub innymi potrzebami, a wzrastając coraz bardziej w liczbie, stawaliśmy się śmielszymi, i przychodziliśmy do lepszej broni i pieniędzy; zachęcali się przez to niezmiernie wieśniacy i do nas przystawali wykonawszy przysięgę, tak dalece że w przeciągu tygodnia miałem już 150 przeszło dobrze uzbrojonych i ośmielonych ludzi. Zaczęliśmy przeto na większe oddziały napadać, i znaczne zawsze nad nieprzyjacielem odnosiliśmy korzyści, a mając umówione sygnały nieznanne i coraz nowe, oraz umówione knieje, gdzie się znowu zebrać możemy, nie baliśmy się przeto wysledzenia nas, bośmy nigdzie 12 godzin nie bawili.

Tym sposobem wojowałem nie posyłając nigdzie raportów ani odbierając rozkazów, oraz nie potrzebując od rządu narodowego niczego, i lubo nieprzyjaciel był pod Warszawą i staczał wielkie boje, ja byłem w tyle jego armii o 20-30 mil, robiłem mu szkody jakie tylko mogłem niepokoiłem go i byłem szczęśliwy przez 4,5 miesięcy, nie straciłem bowiem 60 ludzi, a tylko strata Wyżykowskiego, człowieka bardzo zdolnego i wielkiej odwagi była mi prawdziwie bolesna [...]¹.

Następnie Zaliwski uwijał się po Puszczy Kurpiowskiej, atakując tu transporty wroga. Spośród działań oddziału odnotowane na przykład zostało zwycięstwo pod Chrzcianką (Trzcianka) niedaleko Różana, gdy na czele 28 konnych Mazurów napadł na znacznie liczniejszego nieprzyjaciela i rozproszył go, biorąc w niewolę 40 ludzi. Z kolei 18 kwietnia 1831 r. Zaliwski zaatakował oddział gwardii rosyjskiej. Rozproszył go, zabił rotmistrza i 15 kozaków, zabrał wiele koni i mnóstwo kosztownych sprzętów. Miało to miejsce pod wsią Udrzyń niedaleko Broku. W dogodnych sytuacjach Zaliwski nie wahał się organizować zasadzki nawet na kolumny pułkowe z działami (pod Miastkowem). W maju połączył się

¹ J. Zaliwski, *Revolucja polska 29 listopada 1830*, Paryż 1833, s. 46.

z oddziałem pułkownika Sierakowskiego. Wspólnie z nim zaatakował Szczuczyn, skąd wyparto Rosjan. 6 kwietnia Józef Zaliwski, dotychczas kapitan, otrzymał awans na podpułkownika. Naczelný Wódz chwalił go za to, że prowadził „[...] z korzyścią małą wojnę przeciwko liczniejszemu nieprzyjacielowi między Bugiem a Narwią”, a gen. Umiński uzupełnił tę opinię: „ustawicznie nieprzyjaciela alarmuje, niewolników i patrole zabiera, zgola wszędzie urywa, wszędzie nieprzyjacielowi szkodzi”².

Po bitwie ostrołęckiej w maju 1831 r. Zaliwski wyruszył na Litwę w ślad za korpusem generała Giełguda, zmierzającego tam dla podtrzymania i rozszerzenia tamtejszego powstania. Połączył się z nim w Grajewie. Nie był tym faktem zachwycony, gdyż – jak pisze – „zmuszony zostałem dzielić z nią wszelkie głupstwa i nieszczęścia, mając już pod komendą 600 ludzi rządowych a 900 moich, dobrze uzbrojonych i w największej karności utrzymywanych. Zaraz na drugi dzień uderzyliśmy na Rajgród, gdzie poprzednio, kilka dni białem się łącznie z Pułkownikiem Sierakowskim z rosyjskim generałem Sacken”³. Zwycięska bitwa pod Rajgrodem, w której wzięło udział 20 000 polskich żołnierzy, budziła otuchę i nadzieję. Jej bohaterem został Franciszek Mycielski, który

piękną zginął śmiercią, bo z jednym szwadronem Poznańczyków wpadł do miasta Rajgrodu bronionego przez dwa pułki piechoty a trzeci w rezerwie za miastem. Atak ten Franciszka Mycielskiego należy do najpiękniejszych czynów jazdy. Piechota nasza, uderzająca na Rajgród i przez płoty po ogrodach się przeprawiająca dla wyrugowania Moskali z domów, takim zawrzała zapałem na widok szwadronu wpadającego do miasta, że jej już nic wstrzymać nie mogło, pobiegła na przebój w pomoc braciom ułanom poznańskim, w oka mgnieniu stanęła przy nich a przestraszeni Rosjanie, którzy po domach z okien strzelali, wnet poczęli broń rzucać. Zabrano ich 1500. Ale nim broń wszyscy złożyli, na rynku z domu, w którym dowódzca jednego z tych pułków bronił się przeciw nacierającemu

² A. Dobroński, Powstanie Listopadowe i wojna polsko-rosyjska 1830-1831, w: *Z dziejów wojskowych ziem północno-wschodnich Polski*, red. Z. Koszyła, Ośrodek Badań Historii Wojskowej Muzeum Wojska w Białymstoku, Białystok 1986, s. 201.

³ J. Zaliwski, *Revolucja polska*, s. 46-47.

Mycielskiemu, padł strzał, który Mycielskiego śmiertelnie ranił. Kazał on trzymać się na koniu i zaprowadzić przed szwadron i już cichym głosem wymówił: Szczęśliwym, żem was tu prowadził, – i skonał na rękę podkomendnych swoich. Atak ten tylko z szarżą pod Somosierrą porównać można. Tam góry, tu miasto obsadzone piechotą jeden szwadron zdobył, to jest, odwaga i poświęcenie się jednego szwadronu ożywiło, zapaliło swoich, a wystraszyło nieprzyjaciół⁴.

Rajgrodzka bitwa opromieniała też sławą zwycięzcy witanego z entuzjazmem przez Litwinów Giełguda. Ten jednak, co się wkrótce okazało, srodze zawiódł pokładane w nim nadzieje. Ofiara życia wspaniątych żołnierzy, która całkiem realnie mogła przynieść Polsce zmartwychwstanie, została w części od niego zależnej zmarnowana.

Po drodze do Wilna Zaliwskiego „zostawiono w Augustowie ażebym zasłaniał Giełguda stylu i przeskadzał Kurucie ścigać go, co też wypełniałem, i odtąd na nieszczęście z Partyzanta stałem się żołnierzem regularnym. [...] Poszedłem [...] za Sakenem do Kowna, a gdy już go i tam nie zastałem, zabrałem to co było w Kownie do niewoli, znalazłem ogromne zapasy żywności i efektów, a ubrawszy mój oddział w mundury moskalom tu zabrane, i zaprowadziwszy Rząd udałem się ku Wilnu, Kowno zostawując w rękę oddziału przysłanego od Giełguda który nie omieszkał strofować mię za to żem bez jego rozkazu zajął to miasto”⁵. Warto zaznaczyć, że kwestia ubrania oddziału w moskiewskie mundury pojawi się raz jeszcze w tej opowieści.

Na Litwie Zaliwski nawiązał kontakt z generałem Chłapowskim, oddając się pod jego komendę. Był on pochodzącym z Wielkopolski, a więc z zaboru pruskiego, oficerem, byłym adiutantem Napoleona, zasłużenie cieszącym się opinią sprawnego i odważnego dowódcy. Chłapowski dowodził oddziałem, który wcześniej, niezależnie od korpusu Giełguda, śmiałym rajdem przez Puszcze Białowieską przedostał się na Litwę, by wspomóc tamtejsze po-

⁴ D. Chłapowski, *Pamiętniki część II. Wojna roku 1830-1831*, Poznań 1899, s. 66-67.

⁵ J. Zaliwski, *Rewolucja polska*, s. 47-48.

wstanie. Była to wyprawa poza granice Królestwa Polskiego, na tereny wcielone do Carstwa Rosyjskiego; również Białostoczczyzna była wówczas dla powstańców zagranicą.

Nieudolność Giełguda spowodowała, że ekspedycja dowodzonego przez niego korpusu zakończyła się kompletnym fiaskiem. Jej kulminacyjnym punktem była bitwa o Wilno w dniu 19 czerwca 1831 r. Zdobycie tego kluczowego miasta, doskonale zaopatrzonego w broń i żywność, strategicznie położonego, z patriotycznie nastawioną ludnością, mogło przeważać losy powstania na wschodnich terenach niedawnej Rzeczypospolitej. Niestety, zamiast za radą Chłapowskiego niezwłocznie ruszać na Wilno, by wyprzedzić zmierzające już tam wojska rosyjskie, generał Giełgud postanowił najpierw odwiedzić rodzinne Giełgudyszki. Ponaglany był przez zdesperowanego Chłapowskiego, który widział wymykającą się z rąk okazję przechylenia szali wojny. Chłapowski codziennie wysyłał zebrane wiadomości i raporty o sytuacji Giełgudowi, „który na nieszczęście stał u znajomych swoich, dokąd zjeżdżało się coraz więcej obywateli ze stron, gdzie Rosjan nie było, i ci mu wystawiali zapewne, że ich nigdzie nie ma, że dość jeszcze ma czasu i że niezawodnie całą Litwę opanuje. Imieniny jego odprawiono hucznie w Janowie i tak zeszedł drugi tydzień”⁶. Gdy Giełgud wreszcie się ruszył, Chłapowski posłał rozkaz Zaliwskiemu, „ażeby z Trok, gdzie stał, przybył na nasze prawe skrzydło. Miał on 1000 ludzi pieszych, to jest około 800 zebranych w marszu na Litwie, a 200 strzelców wolnych z Kongresówki. Miał przytem 200 jazdy. Wszyscy byli dobrze uzbrojeni”⁷. Mocno spóźniony Giełgud, nie chciał przyjąć do wiadomości, że jest już za późno atakować Wilno, teraz już silnie obsadzone i umocnione przez Rosjan. „Z jakimże czołem – argumentował Chłapowskiemu – możesz mi radzić odstąpienie od Wilna? Popularyzowałeś się w armii planem na Wilno, a dziś, kiedy przybyłem, chcesz, abym z wstydem się rejterowałem? [...] Jutro Wilno atakuję a okopy pułk 7-my weźmie”⁸.

⁶ D. Chłapowski, *Pamiętniki*, s. 74.

⁷ Tamże, s. 76.

⁸ Tamże, s. 77.

Wskutek takiego dowodzenia i wcześniejszego rozproszenia polskich sił, „razem więc było 6 000 ludzi i 27 dział. Dołączając Zaliwskiego, który się później w czasie ataku na prawem naszym skrzydle pokazał, to jest 1200 ludzi, atakowaliśmy w 7200 pozycją okopaną, bronioną przez 17000 i 60 dział”⁹. Chłapowski wydał rozkaz atakowania kościoła św. Szczepana, leżący między Ponarami a miastem Zaliwskiemu, który oddział piechoty „prowadził, poprzedzony armatką skórzaną, która zasługuje na wzmiankę w historii, że śmiała 60 ciężkim działom odpowiadać i może lepiej, jak one trafiała”¹⁰.

Sam Zaliwski tak wspomina swój udział w bitwie:

[...] przybyłem od Trok na prawe nasze skrzydło dnia 19 czerwca pędząc przed sobą ucierające się nieprzyjaciela forpoczty [...] Mnie zaś oddał [Chłapowski] parę batalionów piechoty i dwa szwadrony jazdy dla wzmocnienia mego oddziału [...] Ręczną bronią i bagnetem walczyłem z nieprzyjacielem będącym w okopach i lubo podwakroć byłem odparty za trzecim atakiem zdobyłem je – Lecz jakież nasze było zdziwienie i rozpacz, gdy postrzeegliśmy w ten moment, że Giełgud z Chłapowskim zrejterowali nieuwiadomiwszy nawet mnie o tem. [...] widziałem że jest wszystko zgubione i że nie potrafię wyrejterować – Postanowiłem jednak próbować tego, i przyznać muszę, że tylko błąd i niedeterminacya ze strony Moskali uratowały nas od zupełnej zguby, pod okropnym jednak ogniem działowym i ręcznej broni musiałem przechodzić most na rzeczce Wace, a spalenie takowego przez nas wśród najzaciętszej walki, zachowało nas od zupełnego zniszczenia”¹¹.

Pułkownik Mielżyński wspomina jednak, że słyszał, jak generał Giełgud mówi do Chłapowskiego, zlecając mu osłanianie odwrotu, aby był spokojny o Zaliwskiego, bo posłał do niego dwóch adiutantów¹². O ile jest to prawdą, to nie dotarli oni do celu, gdyż wszystkie

⁹ Tamże, s. 78.

¹⁰ Tamże, s. 79.

¹¹ J. Zaliwski, *Revolucja polska*, s. 50-51.

¹² A.Z., *Wojna na Litwie w roku 1831*, Kraków 1913, s. 76.

relacje zgodne są co do tego, że Zaliwskiego pozostawiono samego na polu bitwy. W tym czasie generał Chłapowski osłaniał odwrot polskich oddziałów. A robił to doskonale. Rosyjski oficer, świadek tych wydarzeń, tak to opisuje: „Konnica ich jednak tak wybornie i zręcznie prowadzone szarże wykonywać umiała, że w każdej chwili, kiedy ich przednią linię myśleliśmy otoczyć, świeże lub nowo zebrane szwadrony potrafiły ją uwolnić. Tu trzeba oddać sprawiedliwość męstwu ich konnicy i talentowi tego, co chwile stosownie tak dobrze umiał wybierać. Kilku jeńców, którzy dostali się w nasze ręce, mówiło, że to generał Chłapowski szarżę to prowadził. Szarżom tym winna piechota ocalenie, gdyż przez nie miała czas skupić się i cofnąć”¹³. W czasie tego odwrotu Chłapowski błysnął również osobistą odwagą: „Gdy [...] spostrzegł nieprzyjacielskich ułanów, którzy wlekli jednego z naszych, rzucił się z między nich z jednym tylko kapitanem Koszarskim i uwolnił naszego żołnierza”¹⁴.

Nazajutrz po cofnięciu się spod Wilna Zaliwski wysłał do Chłapowskiego oficera z „długim listem, proponując mi odłączenie się od Giełguda, a w takim razie złączy się ze mną i będzie mi zupełnie posłusznym, utrzymując, że wojnę partyzancką będziemy mogli prowadzić ze skutkiem i dodając, że jeśli bym ja pozostał z Giełgudem, to on pomaszeruje, gdzie mu się zdawać będzie najstosowniej”¹⁵. Oferta nie została przyjęta.

Odwrot polskich oddziałów spod Wilna ostatecznie zakończył się dla większości z nich przekroczeniem granicy pruskiej, internowaniem i w konsekwencji utratą całego korpusu. Tylko generał Dembiński brawurowym rajdem przedarł się do Warszawy ratując dla powstania swoich żołnierzy. Niezadowolenie z dowodzenia Giełguda było powszechne. Chłapowski ocenia, że

Był to uczciwy i dobry Polak, mężny żołnierz w ogniu, ale równie ograniczony, jak próżny. Rozgoryczenie było tak wielkie, że na granicy z Prusami wydarzyła się rzecz bez precedensu: Giełgud stał na koniu, otoczony licznym sztabem i oficerami pruskimi. [...] Kor-

¹³ Tamże, s. 75-76.

¹⁴ Tamże, s. 76.

¹⁵ D. Chłapowski, *Pamiętniki*, s. 87.

pus Rolanda przeciągał właśnie za nami [...] Było to zamieszanie pewne. Wtem oficer z 7-go pułku wpadł na koniu przez granicę, przejechał obok mnie aż do Giełguda, który stał z listem w rękę i strzelił do niego z pistoletu. Ugodził go prosto w serce tak, że spadł z konia i zaraz ducha oddał¹⁶.

Co działo się z oddziałem Zaliwskiego po załamaniu się ataku na Wilno? Jak pisze dowódca we wspomnieniach: „Los nasz był już rozstrzygnięty bo nie mogłem się w żaden sposób złączyć z Giełgudem, bo ten przeszedł Wiliją i most na niej zniszczył, prócz tego byłem odcięty przez kolumnę nieprzyjacielską, która mnie uważała i miała na mnie uderzyć skorobym wyszedł z mocnej pozycji w Trokach i chciał się połączyć z Giełgudem”¹⁷. Zresztą taki stan rzeczy, który czynił go na powrót partyzantem, chyba Zaliwskiemu odpowiadał.

Za oddziałem wyruszyły w pościg dwa pułki rosyjskiej kawalerii. Gdyby Moskale energiczniej prowadzili pościg Zaliwski zapewne nie uszedłby kłeski. Na szczęście Rosjanie obawiając się przeprowadzenia ponownego ataku na Wino przez Giełguda (co było nieprawdopodobne), powstrzymali pościg.

Chwyciliśmy się desperackiego kroku – wspomina Zaliwski – postanowiliśmy miejscami niedostępnymi i lasami przedrzeć się ku Warszawie unosząc ze sobą mocno rannego Czarneckiego, najwaleczniejszego i najzdolniejszego w naszym oddziale oficera. [...] Spieszyłem więc jak mogłem wśród nieprzyjaciół ze wszech stron ściskany i napierany; a robiąc poruszenia w prawo i w lewo łudziłem nieprzyjaciela i maskowałem moje zamiary nie mając pełna 1200 ludzi, 300 przeszło bowiem straciłem w bitwie pod Wilnem; na domiar zaś nieszczęścia cholera w oddziale mocno grasowała i na dzień po kilku i kilkunastu zabierała. Pomimo tego wszystkiego jednak uszedłem naprzód mil 40, odniósłszy nawet kilka korzyści nad nieprzyjacielem [...]”¹⁸.

¹⁶ Tamże, s. 100.

¹⁷ J. Zaliwski, *Rewolucja polska*, s. 51.

¹⁸ Tamże, s. 51-52.

Poszarpany pod Wilnem oddział, wymykający się depczącym mu po piętach Rosjanom, przedostał się na teren Puszczy Augustowskiej. Tu, koło wsi Czortek nad Kanałem Augustowskim Zaliwski założył obóz, by leczyć rannych i chorych na cholere. Po kilku dniach doszli go Rosjanie. Okopany oddział odparł atak jednej z rosyjskich kolumn, ale na wiadomość o zbliżaniu się kolejnych, musiał się wycofać. Partyzanci przeszli Biebrzę pod Sierzputowem i przez Suchowolę, Janów dotarli do Puszczy Knyszyńskiej. 24 czerwca wieczorem zatrzymali się w Sokółdzie. Spaliwszy za sobą most (jeśli wierzyć ustnym przekazom), by zabezpieczyć się przed postępującymi za nimi Rosjanami, rozłożyli się na nocleg. Nadszedł ranek 25 czerwca

Co było dalej, wiemy z opisu przypadkowego świadka, księdza Andruszkiewicza. Relacja ta zanotowana została i szczęśliwie zachowała się w księdze zmarłych parafii Szudziałowo:

Roku Pańskiego tysięcznego osiemsetnego trzydziestego pierwszego miesiąca czerwca dwudziestego piątego dnia rano we wsi Sokółdzie wojsko polskie w przechodzie na spoczynku rozlokowane, napadnięte przez wojsko rosyjskie, w części pobite, w części potopione w rzece Sokółdzie. Wojsko polskie pobite, grzebanem było bez żadnej zwłoki zaraz w różnych miejscach wsi Sokółdy przez żołdaków wojska rosyjskiego. Jednemu tylko żołnierzowi polskiemu ciężko ranionemu uprosiłem pozwolenia dać ostatnią absolucyjną i namaszczenie Oleju Świętego jako przypadkowie iadący do chorego i tamże w Sokółdzie zachwycony. Potopieni żołnierze w liczbie pięćdziesiąt sześciu pochowani zostali w innej mogile na tej stronie rzeki przed groblą do rzeki, idąc po prawej stronie pod górą. Niech odpoczywają w pokoju”.

Nawiasem mówiąc, ta „przypadkowa” obecność księdza na polu bitwy budzi wątpliwości. Nawet nie znając ówczesnych granic parafii, można powątpiewać w to, że ksiądz jechał do chorego przez Sokółdę. Bo, według jego słów, skoro w Sokółdzie go „zachwycono”, to znaczy że zmierzał dalej. Czyli dokąd: do Supraśla? Surażkowa? Aż tak rozległa jego parafia raczej nie była. Bardziej prawdopodobne wydaje się powiadomienie księdza o bitwie przez

kogoś z mieszkańców pobliskich wsi: Sokołdy, Woronicza lub Międzyrzecza. A może odgłos wystrzałów był słyszalny w Szudziałowie i kapłan domyślił się, że powinien niezwłocznie spieszyć z ostatnim namaszczeniem? Ponieważ parafialna księga zmarłych była rodzajem urzędowego dokumentu, mógł uznać, że zapis o takim przejawie współczucia dla „buntowników” ze strony mieszkańców i jego osobiście może być źle widziany i nieco go wyretuszował.

Czy podobne motywy mogły skłonić księdza do przemilczenia faktu egzekucji? Brak jest na ten temat wiarygodnych informacji, ale w przekazach miejscowej ludności pojawia się przecież motyw wieszania powstańców na stojących przy łące dębach. Aczkolwiek w Powstaniu Listopadowym walczyły regularne armie i przestrzegano na ogół pewnych norm wojennych, to jednak oddział Zaliwskiego miał w znacznej mierze charakter partyzancki – regularny charakter prawdopodobnie miała tylko jazda i część piechoty podesyłanej mu przez Chłapowskiego przed wileńską bitwą. Składał się ponadto w pewnej części z wileńskich akademików i tamtejszych partyzantów (a więc obywateli rosyjskich), którzy przyłączyli się do oddziału podczas bitwy pod Wilnem. Do tego działał w terenie, który Moskale już dawno przywykli uważać za rdzennie rosyjski, więc polscy żołnierze, zwłaszcza ci nieumundurowani, mogli być postrzegani przez nich jako zwykli bandyci. Wydaje się, że w tej sytuacji zadanie hańbiącej śmierci na sznurze mogło mieć miejsce. Czy planowana ekshumacja pomoże wyjaśnić te wątpliwości? Jeśli nawet na kosztnych szczątkach nie zachowały się bezpośrednie ślady, to może wyjaśniłoby coś ich ułożenie, sugerujące związanie rąk. Lokalizacja mogiły, dębów i miejsca niefortunnej przeprawy przez rzekę wskazują, że mógł to być najbardziej dogodny, zdalny do pochówku suchy punkt: wspólny zarówno dla wyłowionych z rzeki, jak i powieszonych powstańców. Wzmacnia te podejrzenia kawalerska ostroga znaleziona podczas poszukiwań mogiły, w zagłębieniu terenu między dębami a miejscem pochówku.

A co na temat bitwy podają źródła rosyjskie? W swoim raporcie Rosjanie piszą, że powstańczy oddział został przyparty do rzeki i rozbity. Nieznaczną reszta, z Zaliwskim na czele, miała ująć do

lasu i przedostać się do Warszawy. Według rosyjskich danych rezultatem bitwy było 150 utopionych, 130 poległych i 170 wziętych do niewoli powstańców: razem 450. Ponieważ znamy dokładną liczbę utopionych – było ich 56 – można z dużym prawdopodobieństwem przyjąć, że Rosjanie, by wykazać przed *naczelstwem* swe wielkie zasługi, zawyżyli trzykrotnie nie tylko tę liczbę, ale wszystkie swoje szacunki. Zaniżyli natomiast liczebność oddziału Zaliwskiego. Oceniają ją na 600 żołnierzy, zapewne by móc pochwalić się jego całkowitym roz biciem i zlikwidowaniem problemu. Biorąc pod uwagę liczebność partyzanckiego oddziału w bitwie pod Wilnem, poniesione tam straty, a także relację o setkach żołnierzy błąkających się w puszczy po bitwie, prawdziwa wydaje się liczebność oddziału wynosząca około 1000 osób. Nawet uwzględniając straty spowodowane potyczką nad Kanałem Augustowskim i cholera, trudno przyjąć, że w drodze spod Wilna liczebność oddziału stopniała o połowę¹⁹.

W innym źródle cytującym rosyjski raport, można znaleźć dodatkowe informacje. Dowiadujemy się m.in., że wśród wziętych do niewoli Polaków znajdowało się 8 oficerów. Rosjanie podają również, że oddział Zaliwskiego został rozbity przez kompanię Wołogda, dowodzoną przez pułkownika Maske. Było tam 200 kozaków, lecz na podstawie źródła trudno zinterpretować, czy jest to liczba opisująca cały stan kompanii, czy też dodatkowa. Wiadomo natomiast, że Rosjanie dysponowali artylerią²⁰. Jeśli przyjąć wersję zapisu o 200 kozakach jako całej sile Rosjan, to trudno powiedzieć, czy jest to prawdziwa informacja. Jak już wiadomo, dane wpisywane do raportu Rosjanie traktowali dość niefrasobliwie. Czy rzeczywiście odważyliby się zaatakować pięciokrotnie silniejszego przeciwnika? Można jednak wyobrazić sobie sytuację, gdy nocny napad na śpiący oddział nawet znacznie mniej licznego przeciwnika, lecz wsparty działami, przynosi druzgocący skutek.

¹⁹ W. Bujnowski, *Powiat sokólski. Jego przeszłość i stan obecny*, Warszawa 1939, s. 48.

²⁰ F. Iwanowich, *Geschichte des polnischen Aufstandes und Krieges in den Jahren 1830 und 1833*, Berlin 1848, s.134.

Aby dopełnić obszar niejasności, warto dodać, że na nadrzecznych łąkach znaleziony został komplet posrebrzanych guzików od munduru rosyjskiego grenadiera wraz z nieco sfatygowanym w użytkowaniu XVIII-wiecznym prawosławnym ołtarzykiem podróżnym, stanowiącym zapewne pamiątkę rodzinną. Można się domyślać, że jest to pozostałość po zdjętym opatrywanemu rannemu mundurze. Obecność prawosławnego ołtarzyka wskazuje, że najprawdopodobniej należał on do żołnierza rosyjskiego, chyba że Z pamiętnikarskiego zapisu wiemy o kawalerzystach z oddziału Zaliwskiego ubranych w rosyjskie mundury kirasjerskie. Czy był to jedyny rodzaj munduru zabrany z magazynu w Kownie?

Inną intrygującą bitewną pamiątką jest blacha z rosyjskiej czapki, wyeksponowana obecnie w muzeum w Kopnej Górze. Widnieją na niej, wypisane cyrylicą, litery T.S. Droga prywatnych kontaktów z rosyjskim specjalistą udało się ustalić, że należała ona do żołnierza Turkiestańskiego Pułku Strzeleckiego Piechoty. Zagadką jest to, że pułk ten według dostępnych informacji nigdy nie znajdował się nie tylko w pobliżu miejsca bitwy, ale nawet dawnych ziem polskich. Może ten element należał do umundurowania partyzanta Zaliwskiego, zaopatrzonego w magazynie w Kownie? Ale Kowno to wciąż stosunkowo bliskie sąsiedztwo. Po co trzymano tam ten mundur? Czy został wyprodukowany na naszym terenie, łącznie z pułkowymi emblematami i czekał w kowieńskim magazynie na transport do odległych rejonów Rosji? Jest to zagadka dla specjalistów zajmujących się epoką Powstania Listopadowego. Szczegółowych pytań dotyczących bitwy pod Sokołdą można zadać wiele. Niestety, wciąż nie udało mi się natrafić na ślad wspomnień spisanych przez któregoś z żołnierzy lub oficerów pułkownika Zaliwskiego. Zapewne pomogłyby one niejedno wyjaśnić.

Warto przypomnieć, że poszukiwania mogły utopionych powstańców pod Kopną Górą, nieco przysłoniły fakt istnienia innych miejsc pochówku. Prawdopodobnie we wsi Sokołda, zgodnie z relacją księdza Andruszkiewicza, pochowano podobną liczbę żołnierzy, jak po wschodniej stronie rzeki. Można tak wnioskować na podstawie podawanej przez Rosjan zbliżonej liczby poległych i utopionych. Sądzę, że zastosowali oni ten sam przelicznik (x3),

w związku z czym należy się spodziewać, że na terenie Sokołdy pochowano ok. 40-60 polskich żołnierzy poległych zarówno nad rzeką, jak i w samej wsi.

Pomimo rozbudowy wsi, zachowała ona charakter ulicówki, co może dawać szansę na zlokalizowanie mogił. Porównując dzisiejszy układ zabudowań z przedstawionym na mapie z 1800 r. wydaje się, że pewne luki w zabudowie nadal znajdują się w tych samych miejscach. Jeśli istniały one również w 1831 r., to z dużym prawdopodobieństwem możemy przypuszczać, że tam właśnie zlokalizowano groby. Niektóre z nich mogły się również znaleźć wzdłuż linii zabudowań, poza nimi od strony zachodniej, gdyż od wschodu wieś graniczy z łąkami. Wznoszący się teren, a także zapis księdza Andruszkiewicza („[...] w różnych miejscach wsi Sokołdy [...]”) pozwalają przypuszczać, że pochówki lokalizowano blisko zabudowań. Były to najbliższe dogodnie do kopania miejsca dla ściągających zwłoki z łąk po tej stronie rzeki. Żołnierze rosyjscy musieli ręcznie przeciągnąć ten ciężar na odcinku ok. 100 m, gdyż z powodu błota raczej nie można było myśleć o innym transporcie i zapewne nie mieli ochoty męczyć się ponad konieczną potrzebę. Niektórzy polegli żołnierze mogli znaleźć się blisko grobli i wtedy ściągano by ich do niej w celu przewiezienia: wówczas miejsce ich pochówku należałoby lokalizować na zabudowanym obecnie pagórku przy szosie, na prawo od niej jadąc z Kopnej Góry. Wydaje się jednak logiczne z wojskowego punktu widzenia, że oddział Zaliwskiego musiał być atakowany zarówno od strony wsi, jak i z grobli, którą obecnie biegnie szosa a więc uciekający żołnierze raczej oddalali się od niej w dół rzeki. Świadczyć może też o tym brak znanych znalezisk związanych z bitwą po przeciwnej stronie szosy.

Są to tylko teoretyczne rozważania, być może zbyt daleko idące, ale myślę, że warto będzie wrócić do nich w przyszłości. Jeśli powiedzie się projekt eksploracji mogiły pod Kopną Górą oraz stworzenia tam rodzaju mauzoleum, byłoby niewłaściwe uhonorowanie tylko części poległych. Myślę, że winni im jesteśmy przynajmniej to, by kiedyś podjąć próbę poszukiwań.

Minęły dwa tygodnie od opisanych przez księdza Andruszkiewicza wydarzeń. Działający na naszym terenie, liczący ponad 300

osób, partyzancki oddział kapitana Żylińskiego, który przeszedł tu z Puszczy Białowieskiej, założył obóz niedaleko Sokołdy. Walczący w oddziale dr Józef Szczapiński, który spisał swe wspomnienia został wysłany ze strzelcem konno na patrol.

Zaledwieśmy pół mili ujechali, postrzegamy jadących naprzeciw nas ze trzydziestu kawalerzystów w białych mundurach z czerwonymi kołnierzami. Sądząc z ubioru, że są to kirasjerzy rosyjscy, nie chcieliśmy się z nimi spotkać na bliską metę, przeto rzuciliśmy się na drogę w bok idącą. Lecz ujechawszy kilkaset kroków, zatrzymaliśmy się, wprowadziliśmy konie nasze do lasu, gdzieśmy je do drzew poprzywiązywali; sami zaś przez las udaliśmy się ku drodze, przez którą owa kawalerja przejeżdżać musiała. Zbliżywszy się ku tym jeźdźcom usłyszeliśmy ich mówiących polskim językiem. Nadto postrzegliśmy pomiędzy nimi kilku w cywilnych ubiorach, a nawet kobietę z kilkuletnim chłopakiem. Nie wąpiliśmy przeto że byli Polakami i zaraz wyszliśmy na drogę na ich spotkanie. Jak tylko nas zobaczyli w myśliwskich ubiorach, zapytali, czy nie jesteśmy mieszkańcami tych lasów, a przynajmniej świadomymi tych stron. Kiedyśmy im odpowiedzieli że jesteśmy strzelcami tych lasów, niezmiernie się z naszego spotkania ucieszyli i prosili, żebyśmy im wskazali miejsce w którymby mogli dla siebie nabyć żywności, na jakiej im całkowicie zbywało. Kiedyśmy przyrzekli to zrobić, udali się z nami. W drodze opowiedzieli nam, że należeli do oddziału partyzanta Zaliwskiego, że po wzięciu Kowna zabrali tam mundury kirasjerów moskiewskich, które właśnie dziś na sobie mają, że odcięci zostali od armii polskiej będącej na Litwie, że dążyli ku Warszawie i że za nimi generał Gołowin z korpusem czterotysięcznym w pogoń wysłany został, że przybywszy nad rzekę Sokołdę ku wieczorowi rozlokowali się obozem, ale że w nocy napadnięci przez nieprzyjaciela byli. Piechota obozująca tuż nad brzegiem rzeki wpław ją przebyć chciała, lecz że i kawalerja polska niedaleko będąca, także wpadła do rzeki, wielce przeto zaszkodziła naszej piechocie i że wielu z naszych tam utonęło, a reszta w rozsypkę poszła. Tym boleśnieszka to strata, że najdalej o 150 kroków od tego miejsca przeprawy był bród po kolana, przez który najbezpieczniej można się było dostać na drugą stronę rzeki. Szkoda też, że się nie zapytano o powstańcach: może, jako znający

położenie miejsca, bylibyśmy się przydali na co oddziałowi pułkownika Zalewskiego”²¹.

Żołnierze Zaliwskiego zostali zaproszeni przez Szczapińskiego do obozu, z czego niezmiernie się ucieszyli. Pojawiła się dla nich nadzieja pomszczenia się na nieprzyjacielu. Dla oddziału Żylińskiego zaś byłoby wielką korzyścią przyłączenie się tylu doskonałych, doświadczonych żołnierzy i oficerów. Po powrocie do obozu rozesłane zostały we wszystkie strony małe patrole, które miały odnaleźć blakających się po lesie partyzantów Zaliwskiego. Wkrótce do kilkuset ich zebraliśmy; rannych opatrzyłem, wszystkim zaś udzieliliśmy żywności [...] Radość nasza z posiadania tylu starych żołnierzy, była nie do opisania, zwłaszcza, żeśmy jeszcze nigdy wojska polskiego nie widzieli”²².

Niestety, radość była przedwczesna. Czy to przekleństwo polskiego charakteru, że tak często na przywódców wybierani są ludzie niegodni tego zaszczytu, a ludzie znacznie bardziej odpowiedni, rozumni i utalentowani odsuwani są na dalszy plan? Tak było z dowództwem Giełguda w czasie ekspedycji litewskiej, tak było z przywództwem całego Powstania Listopadowego. Tak było i tym razem:

Jeden tylko Żyliński był niekontent z przybycia ich do naszego obozu. Czy że pomiędzy nimi byli zasłużeni i doświadczeni oficerowie, w których ręce musiałby z czasem złożyć dowództwo, kiedyby się o jego nicości przekonano, czy też z obawy spotkania Moskali, goniących za nimi. To tylko pewna, że w kilka godzin po ich przybyciu, kazał im stanąć do szeregu i nie wchodząc w żadne tłumaczenia przyczyn, oświadczył, że ich przyjąć do swego oddziału nie może, a radzi żeby każdy dla siebie szukał schronienia. Na próżno przedstawialiśmy mu [...] następstwa jego postanowienia; że sparaliżuje przez to powstanie, że działa niekonsekwentnie, odpychając doświadczonych w męstwie żołnierzy, kiedy zwykle wszystkich przyjmowaliśmy do powstania nie wiedząc ani o sposobie-

²¹ J. Szczapiński, *Pamiętnik o powstaniu Białostockiem*, w: *Pamiętniki polskie*, t. II, wydane przez K. Bronikowskiego, Paryż 1845, s. 226-227.

²² Tamże, s. 227.

niach, ani o charakterze przybywających. Na uwagę przez niego zrobiona, że ścigając ich Gołowin i nas odkryje, odpowiedzieliśmy, że tego w każdym razie spodziewać się powinniśmy, bo zniszczysz oddział Zaliwskiego, pewnie nas w spokojności nie zostawi i łatwiej pokona, aniżeli teraz, kiedy połączeni jesteśmy. Na co on rzekł, że liczba nie na wiele się przyda, kiedy wielu z nich nie ma broni. Na tę uwagę sami Polacy odpowiedzieli, że ją znajdą w miejscach, w których ją pozostawiali. Nie mogąc nasz dowódzca nic na to powiedzieć, wynurzył obawę o możliwość wyżywienia tak licznego oddziału, nie mając żadnych zapasów. Postrzegłszy Polacy ostateczne postanowienie naszego komendanta odprawienia ich, pożegnali nas mając łzy w oczach, nie z obawy dostania się w ręce moskiewskie, lecz że nie znaleźli przytułku u podobnych im partyzantów”²³.

Rozpatrując przebieg bitwy pod Sokołdą, należy stwierdzić, że byłoby wielkim zaniedbaniem ze strony dowódcy, gdyby nie rozstawił czat. Ale czy tak w istocie było? Czy człowiek uważany za świetnego partyzanta, kluczący od tygodnia przed pościgiem, znajdujący się na obcym, nieznanym sobie terenie, rozłożyłby się na nocleg bez żadnego zabezpieczenia? Nie chce się w to wierzyć. Jak w takim razie wytłumaczyć kompletne zaskoczenie oddziału i jego paniczną ucieczkę na oślep przez rzekę? Pewnym usprawiedliwieniem może być fakt, że Zaliwski spodziewał się ataku ze strony ścigającego go generała Gołowina. Po znalezieniu się na zachodnim brzegu rzeki Sokołdy, zapewne również po spaleniu mostu, co w takich sytuacjach czyniono i co potwierdza zachowany ustny przekaz o bitwie, czuł się względnie bezpieczny. Tymczasem atak nastąpił ze strony stacjonującego w rejonie Białegostoku korpusu generała Nikitina.

Skąd Rosjanie w Białymstoku wiedzieli o miejscu postoju oddziału pułkownika Zaliwskiego? Wytłumaczeniem może być zdrada. Być może któryś z mieszkańców Sokołdy (mieszkańców: bo przypadkowo przejeżdżające osoby w takich sytuacjach wojsko zatrzymywało), skuszony nagrodą za donos, wyprawił się wieczorem do Supraśla lub Białegostoku, by powiadomić o postoju od-

²³ Tamże, s. 227-228.

działu Zaliwskiego. Nie wydaje się, żeby Rosjanie urządzili nagle, w środku nocy (napad nastąpił nad ranem), wymarsz do puszczy, nie mając ku temu wyraźnego powodu. Znając miejsce postoju, które w tak krótkim czasie mogli poznać dzięki donosowi, mając miejscowego przewodnika obeznanego w terenie, łatwo można było zaskoczyć partyzantów. A zaskoczenie było kompletne. W efekcie Zaliwski został rozбитy pod Sokółdą przez pułkownika Maskę. Oddział poszedł w rozsypkę, a dowódca ledwie zdołał umknąć. Pośrednim dowodem tej hipotezy może być opowieść jednego z mieszkańców przekazywana przez kolejne pokolenia:

Pad Sakołdoju jak mietież był, był boj. Od Krynek kozaki nastupali. Polaki przeszli na ta strona, znaczy supraska i mosta spalili. Ale od Supraśla nastupalo wojsko rosijskie. Ludzi haworac szczo ich z Supraśla podprowadził. To oni nazad i dawaj bieriozki ciac i na rzeka i po nich na druga strona. To ich nakladli tam, że ten co wyszedł na druhoju storonu, to po tych pobitych. A ktoroho schapili, to powiesili na dubie szczo do siech por za rekoju staic. Tutejsze mahiłu im pastroili. A toho krzyża szczo zdieś staic za sanacji nadleśniczy postawił²⁴.

Niestety, wydaje się, że również sam dowódca oddziału nie ma w tej sprawie czystego sumienia. W wydanej przez siebie na emigracji broszurze dziwnie gładko prześlizguje się nad wydarzeniami, jakie miały miejsce u podnóża Kopnej Góry. Właściwie kwituje je jednym zdaniem: „[...] przyparty ze wszystkich stron nad Sokółdą, w czasie przeprawy przez tę błotnistą rzekę, i gwałtownie przez czterykroć liczniejszego nieprzyjaciela napadnięty, rozбитo zostałem”²⁵. Wcześniej tłumaczy, że ścigani przez Rosjan na ich terenie, i tak byli skazani na zagładę; była to tylko kwestia miejsca i czasu. Ale przecież generał Dembiński przedarł się z Litwy do Warszawy! Znamienne mogą być również zawarte w broszurze odstępstwa od wersji podawanej przez księdza Andruszkiewicza

²⁴ Relacje mieszkańców Sokółdy i okolicznych wiosek – spisał W. Załęski w latach siedemdziesiątych XX w. (Archiwum Collegium Suprasliense).

²⁵ J. Zaliwski, *Rewolucja polska*, s. 52.

i doktora Szczapińskiego (szkoda, że ten ostatni tak lakonicznie streścił opowieść żołnierzy Zaliwskiego! Przecież przez czas wspólnego przebywania w oddziale musieli rozmawiać o minionych wydarzeniach znacznie dłużej i szczegółowiej!). Pisanie o napadzie podczas przeprawy przez rzekę, a nie nad ranem w czasie noclegu wygląda, niestety, na próbę wybielenia się.

Są natomiast w opowieści Zaliwskiego dwa frapujące punkty. Jednym z nich jest data bitwy. Nasza dotychczasowa wiedza mówi, że było to 25 czerwca. Tymczasem Zaliwski podaje inny dzień: mianowicie 7 lipca. Jeśli wykluczyć pomyłkę, widać jedno sensowne wytłumaczenie tej rozbieżności: kalendarz prawosławny wg starego stylu. Książd Andruszkiewicz, jako mieszkaniec Szudziałowa, leżącego w granicach Rosji, zapewne musiał używać tego kalendarza. Inaczej niż pułkownik Zaliwski, obywatel Królestwa Polskiego. W związku z tym prawdziwa wydaje się data 7 lipca 1831 r.

Większy ciężar gatunkowy ma natomiast druga historia. Jeśli dać jej wiarę, okaże się, że bitwa pod Sokołdą przyniosła znacznie poważniejsze konsekwencje, niż rozbięcie partyzanckiego oddziału. W drodze do Wilna patrol Zaliwskiego zatrzymał Żyda. Ponieważ był on obcy w tych stronach, jak zwykle w takich przypadkach przesłuchano go i zrewidowano: „[...] żołnierz wziął jego buty, i macając cholewy poczuł że w środku zaszyty jest papier, rospruł więc i dostał ekspedycją do Generała Gubernatora Wilna Chrapowickiego, którą ze drzeniem rozpieczętowałszy znalazłem we środku drugą do Orłowa. Spytałem się żyda dla czego zapierał się że nie ma żadnych papierów – odpowiedział mi że miał rozkaz od Naczelnego Wodza nie pokazywania nikomu i oddania do własnych rąk Gubernatora Chrapowickiego” Co było w listach? W pierwszym Gen. Skrzynecki w krótkich słowach prosił Chrapowickiego o przesłanie ekspedycji do Orłowa jak najspieszniej [...] w ekspedycji zaś Orłowa ze zgrozą następnego słowa przeczytałem i treść ich przytaczam: Do układów rozpoczętych przez generała Chrzanowskiego zupełnie przystępuję, kładąc za ostateczny warunek wypłacenie mi 8 000 000 zł. Polskich w Holandyi i zachowanie tytułu byłego Naczelnego Wodza wojsk Polskich”. Dalszy ciąg korespondencji miał mówić o prowadzonej przez Skrzyneckiego

odpowiedniej „polityce kadrowej” i wysuwaniu na stanowiska ludzi, którzy „potrafią ocenić dobrodziejstwo zostawiania pod berłem Najjaśniejszego Cesarza i Króla”²⁶. W dalszym ciągu wspomnień Zaliwskiego dowiadujemy się, że przechwycona korespondencja przypadła w czasie bitwy pod Sokołdą.

Historycy pomijają tę historię milczeniem, uważając ją za niewiarygodną i niepotwierdzoną. Czy słusznie? Wiemy, że Zaliwski nie może być uważany za rzetelne źródło. Ale przecież nie oznacza to, że jeśli ktoś nie zawsze jest wiarygodny, to zawsze kłamie. Śledząc postępowanie Skrzyneckiego jako Naczelnego Wodza, fatalną w skutkach rolę, jaką odegrał, wiele jego decyzji budzących poważne wątpliwości, można dojść do wniosku, że przekaz Zaliwskiego doskonale tłumaczyłby motywy jego działania. Po prostu: pasuje do układanki. A do tego upór, z jakim Zaliwski podnosił tę sprawę po dotarciu do Warszawy. Czy czyniłby tak, nie będąc przekonanym? Dobijałby się o posłuchanie u władz Powstania, mając zamiast dowodów wyssaną z palca historię? Ryzykowałby, że poniesie konsekwencje jako oszczerca?

To, że podejrzwanie Skrzyneckiego o zdradę nie musi być historycznym „oszołomstwem”, świadczą rozważania na ten temat prowadzone przez Jerzego Łojka:

Gdy czytamy pamiętniki ludzi, którzy w czasie wojny polsko-rosyjskiej 1831 roku stykali się ze Skrzyneckim i obserwowali jego »dowodzenie«, zalewa nas po prostu potok przerażających szczegółów potwornego niedołęstwa, głupkowatości i tępego uporu tego przedziwnego „naczelnego wodza«. Przez cały czas swego »dowodzenia« okazywał on w obliczu nieprzyjaciela zdumiewającą bez troskę; zabawiał się bankietami i towarzyskimi konwersacjami, pozował do portretów, które miały spopularyzować jego oblicze w całej Europie, wyklócał się z rządem o wysokość swego uposażenia. Natomiast w sferze czysto wojskowej objawiał krańcową beźmyślność. Czasami pozornie ulegał usilnym naleganiom swoich współpracowników, wydawał podsuwane rozkazy – które po godzinie cofał, podejmował decyzje tylko po to, by dziesięciokrotnie je

²⁶ Tamże, s. 49.

zmieniać, wpychał dosłownie wojska polskie w nieuchronną klęskę, z góry widoczną dla najmniej inteligentnego z oficerów polskiego sztabu.

Wszystko to mogłoby nasuwać poważne podejrzenie, iż Skrzynecki cierpiał na znaczne zaburzenia charakterologiczne, że był po prostu nie całkiem zdrow i normalny umysłowo. Jednakże przeciwko tej hipotezie przemawia swojego rodzaju nieugięta konsekwencja, której można się dopatrzeć w całokształcie postępowania naczelnego wodza; wszystkie jego poszczególne wahania, i nonsensowne decyzje składały się przecież niesłychanie precyzyjnie w jedną całość. Skrzynecki tak skutecznie sparaliżował wszelkie działania wojsk polskich, tak zręcznie potrafił okiełznać swych współpracowników i przekreślić szanse polskiego sukcesu nawet wtedy, gdy niepowodzenie wydawało się w ogóle niemożliwe, gdy wystarczyło po prostu z zamkniętymi oczyma iść naprzód, by odnieść zwycięstwo – że trudno oprzeć się wrażeniu, iż działał w myśl jakiejś ogólnej, z góry przyjętej zasady.

Nie znaleziono dotychczas dowodów na to, że źródłem takiego postępowania Skrzyneckiego było porozumienie z nieprzyjacielem; trudno więc sugerować, że podobne porozumienie istniało, choć hipoteza taka jest niesłychanie użyteczna, gdyż tylko ona pozwala w jakiś racjonalny sposób spojrzeć na »dowodzenie« Skrzyneckiego i wytłumaczyć jego decyzje.

Faktem jest niezaprzeczalnym, że naczelnny wódz rozpoczął pełnienie swych obowiązków od pertraktacji z feldmarszałkiem Dybiczem, w czasie których wyraźnie przekroczył swoje kompetencje, starając się na własną rękę doprowadzić do kapitulacyjnej ugody. Gdy pertraktacje te wyszły na światło dzienne, pod naciskiem opinii publicznej musiał w końcu z nich się wycofać. Czy jednak – w zamian za jakieś obietnice – przyjął wówczas (lub kiedy indziej) poufne zobowiązanie ograniczenia polskich operacji wojennych i nie-dopuszczania do działań ofensywnych?²⁷

Dziwne jest, jak pisze Jerzy Łojek, że rosyjski szef sztabu generał Toll przyjmował za absolutnie pewne, iż Skrzynecki nie wykorzysta żadnej szansy kontrofensywy. Tenże sam generał miał powie-

²⁷ J. Łojek, *Szanse Powstania Listopadowego*, Warszawa 1980, s.71-72.

dzień, że tylko wódz naczelny Polski mógł uratować Rosjan. I on to zrobił!

W dniu 17 i 18 maja 1831 roku armia polska znalazła się przeciw osamotnionemu korpusowi gwardii Mikołaja I. Wojska polskie, w sile 30 000 żołnierzy i 80 dział, trzymały w szachu 23 000 gwardzistów i ich 70 dział; zdawało się, że nic już nie zdoła ocalić tej najlepszej części armii rosyjskiej od kompletnej zagłady. Powstała sytuacja, jaka w dziejach wojen zdarza się raz na sto lat: Skrzynecki miał tym razem upragnioną stuprocentową pewność powodzenia; perspektywa zwycięstwa była oczywista – chyba zbyt już oczywista

Skrzynecki odmówił uderzenia na gwardię. Decyzję tę, niepojętą, niezrozumiałą, bezsensowną, przyjęto w końcu w polskim sztabie jako dopust Boży, jako widomy znak, że fatum ciąży nad losami powstania. Nie znalazł się nawet desperat, który by odważył się w tej przełomowej chwili zakończyć karierę Skrzyneckiego w ten sposób, jak zakończona potem została kariera człowieka, który w czerwcu zmarnował powstanie na Litwie, generała Giełguda [...]

Wacław Tokarz napisał o tej sytuacji: »Historykowi pozostaje jedynie droga przypuszczenia, że albo Skrzynecki upadł wtedy zupełnie pod ciężarem odpowiedzialności, przerastającej jego siły, i nie powinien był ani dnia dłużej sprawować dowództwa, albo też – z tych czy innych przyczyn – nie chciał myśleć nawet o zadaniu Mikołajowi I takiego ciosu, jak pobicie jego gwardii«.

»Z tych czy innych przyczyn« Nie nam pierwszym nasunęło się więc przypuszczenie o umyślnym działaniu Skrzyneckiego na korzyść nieprzyjaciela!

Gwardia wyszła cała z potrzasku. 26 maja 1831 roku na polach Ostrołęki armia polska poniosła druzgocącą klęskę, doczekawszy się połączenia korpusu gwardii z resztą wojsk Dybicza. Od tej chwili ostateczne zwycięstwo polskie w wojnie przeciwko Mikołajowi I nie było już pewne [...] ²⁸.

Nam pozostaje wierzyć w to, co kto woli. A może relacja Zaliwskiego jest prawdziwa w jakiejś części? Może rzeczywiście przechwycił korespondencję Skrzyneckiego z nieprzyjacielem, stawiają-

²⁸ Tamże, s. 78-79.

ca w złym świetle naczelnego wodza, lecz postanowił ją ubarwić (skoro i tak przepadła). by wzmóc siłę oskarżenia? Może Zaliwski dodał od siebie wyglądające najmniej prawdopodobnie w tej historii szczegóły, np. wysokość zapłaty za zdradę?

Sprawy nie można już dziś wyjaśnić, chyba że nasi historycy dotrą kiedyś do odpowiednich dokumentów rosyjskich, które, o ile istniały, zapewne przetrwały. Ale niebywale ekscytująca dla nas, mieszkańców tych okolic, wydaje się myśl, że bitwa pod Sokołdą mogła zmienić bieg Powstania Listopadowego. Gdyby wówczas ujawniono przechwyconą korespondencję, wywołałoby to wstrząs, zmianę dowództwa. Losy powstania mogły zostać pchnięte na inne tory. Niestety, tak się nie stało. A tajemnicę na zawsze mogły pochłonąć wody Sokołdy lub nadrzeczne błota.

Warto jeszcze na koniec przytoczyć dwa przekazy, które: prawdziwe-nieprawdziwe na pewno nadają dziś koloryt tamtym odległym wydarzeniom. Jest coś krzepiącego w tym, że opisana historia jest wciąż żywa, że nie wszędzie i nie dla każdego odeszła między linijki nudnych szkolnych podręczników, dzieląc miejsce z tak abstrakcyjnymi i w większości niewiele obchodzącymi młodzież postaciami, jak Juliusz Cezar, Kopernik czy inny Piast Kołodziej. Niektórym zapewne roi się, że był tam jeszcze jakiś Popiel, Tomcio Paluch, Śpiąca Królowna i jakieś inne krasnoludki. A nawet jak nie, to wszystko jedno.

W Sokołdzie, gdzie pobite powstańcy leżą, jak z góry schodzić, krzyż jest. Tam dęby rosną i krzyż To wieczorową porą strach iść. Teraz asfalta zrobili, to wszystko zginęło. Tu byli piachy, koni strasznie się mordowali. Temu nazywali to górę Kopna Góra. Wtedy krzyż drewniany był, nie z bietona. Od krzyża biały koń i czarny pies wychodzili, nie było wieczora, żeby kto nie widział. To wyjdzie ten biały koń, to tak jakby dusza powstańca. A za nim wylata czarny pies, to jakby Ruski. I goni za koniem po łące. Zatoczą takie koło i nazad do mogiły i tam znikną. Raz ojciec mój szedł z Kopnej Góry i modlił się, żeby nie widzieć. I tak myśli jak by to było, gdyby wyszli. No i biały koń wyszedł. To tak mu ze stracha włosy stali, że czapka spadła. Do domu przybiegł, to dłuższy czas powiedziec nie mógł. Sam ja go takim widział.

Dranhulki to takie ołowiane kuli do kapiszonówek. Kapiszony to nam przed wojną Żydy sprzedawali. Ale kuli to same wylewali. To strasznie dużo roboty, a i ołowia nie letko było dostać. To my chodzili kopać, tam gdzie w mietież był boj, pod Sokoldą. To w rzece, w burtach tych, było tyle nastrzelane, że jak tratwy, tafla szli i zahaczali o burty na zakręcie, to kuli tak błyszczą poutykane jak zorki wieczorną porą. Tam ziemia miętka była, to one nie spliaszczone, takie okrągłutkie byli. Sprawdzim każdą czy się nada. Położyli my imi zwierzyny sprawiedliwie²⁹.

I ostatnia relacja łącząca symbolicznie, choć gorzki to symbol, przeszłość z terażniejszością: „Koło mosta jak ich pobili, to któren jeszcze żyw był, to tę dubeltówkę do zatoki. Jak już widzą, że nie ma co, że już nie ma londu i zdać się trzeba, to te zbroje do zatoki, do wody. Porzucali wszystkie zbrojenie [...]. To kowal przed wojną tam mosiężną rurę znalazł. Mówili, że to ichnia armata była. Pociął ją na tulei do woza”³⁰.

²⁹ Relacje mieszkańców Sokoldy i okolicznych wiosek – spisał W. Załęski w latach siedemdziesiątych XX w. (Archiwum Collegium Suprasliense).

³⁰ Tamże.